Nr. 13. We Lwowie dnia 1. kwietnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Staromiejskie.

Ziemia i ludność.

opisała Zofja Strzetelska Grynbergowa.

(*Praca nagrodzona na konkursie, ogłoszonym przez Zarząd Muzeum imienia Dzieduszyckich. — Lwów 1899*)

Jeżeli przy ogłaszaniu konkursu kierowała Włodzimierzem Dzieduszyckim myśl stworzenia dokładnego, a barwnego opisu powiatów galicyjskich — to śmiało powiedzieć można, że pani Grynbergowa, najlepiej może myśl tę pochwyciła i wykonała.

Staromiejszczyzna bowiem w jej opisie, pomimo dokładności w szczegółach, wychodzi tak barwnie i malowniczo, że czytelnik z równą uwagą śledzi myśl autorki, przez wszystkie 700 stronic książki, imponującej wprost swymi rozmiarami i nakładem włożonej w nią pracy.

I zaraz też na wstępie trafia autorka w ton właściwy, który całemu dziełu nadaje pewnej lekkości i świeżego polotu. Zdala od naukowego, lub pseudonaukowego balastu, gawędzi pani Grynbergowa z czytelnikiem, opowiadając mu dzieje Staromiejszczyzny i jej biedę dzisiejszą, opisuje pamiątki, stawia nawet teorje, ale zawsze z zastrzeżeniem: wierz, albo niewierz, ale odczuć to wszystko musisz — chyba masz serce kamienne, albo spadłeś wprost z księżyca i, ani razu jeszcze nie odetchnąłeś surową wonią ziemi naszej, nie nawiązałeś ani jednej serdecznej nici z całem twojem otoczeniem!

Ten wstęp, który zgorszył sędziów konkursowych, jako „wstęp do powiastki jakiejś", tak, że autorka z trudem tylko wyprosiła dlań życie, charakteryzuje daleko lepiej okolicę Staregomiasta, aniżeli setki nudnych naukowych opisów. — Żeby tak pisać, trzeba samemu wsiąść do bryczki na cichym rynku samborskim, usłyszeć na pożegnanie grzmiący głos tamtejszych mazurów, spiewających pieśń pogrzebową, trzeba po wyboistym gościńcu spotykać bojków górniaków, „bladych, jak te placki owsiane, którymi się żywią", karczmy przydrożne, siny Dniestr, „czyniący honory gospodarza u wstępu do Staromiejszczyzny", przejechać po dudniącym moście na Jabłonce wzniesionym i znaleźć się wreszcie na długiej ulicy, która stanowi Staremiasto. Powita tam czytelnika szereg domków białych i siwy Zyblikiewicz, mieszczanin w kapocie, który wprawdzie nie bardzo dobrze zna dzieje swego rodzinnego miasta, ale jest za to stryjecznym bratankiem śp. marszałka Zyblikiewicza, a ten, jak wiadomo, pasał w młodości swej barany na „Zamczysku", okrywając się nieraz przed deszczem workiem, spiętym drewnianą szpilką.

Ot i jeden rozdział książki pani Grynbergowej. Drugi nie raził już tak sędziów konkursowych swoją „lekkością". I nic dziwnego, bo traktuje on o przyrodzie Staromiejszczyzny, klimacie, glebie i wartości jej — według zapisków Komisji szacunkowej. A chociaż i tu zabłąkał się sonet: „Dniestrze karpacki synu — na srebrnym rydwanie... etc", to przecież kilka większych zapisków petitowym drukiem u dołu, kilka tabelek meteorologicznych nadaje mu dostatecznej „powagi".

Dalszych pięć rodziałów stanowi historję Staromiejszczyzny. Tutaj już włożyła autorka bardzo dużo pracy, jeszcze więcej skrzętności w zbieraniu materjałów, a najwięcej może dokładności w opracowaniu najdrobniejszych nawet szczegółów. Począwszy od czasów pierwotnych, które pozostaną dla nas na zawsze „księgą z siedmiu pieczęciami" już choćby dlatego, że praszczurowie nasi nie stawiali „posągów z granitu olbrzymich" — aż do dzisiejszej doby, znajdujemy tu, powiedzieć

można wszystko, co się tylko w powiecie staromiejskim zdarzyło. Dociekania autorki w zakresie prahistorji, trzeba naturalnie brać *cum grano salis*, bo one zresztą z natury rzeczy obracać się muszą w granicach hipotez. Niektóre znowu teorje, jak n. p., że „przez religję, a raczej przez obrządek, którym posługiwały się potęgi państwowe, zaczęły się wyrabiać pierwotne słowiańskie ludy na Polaków i Rusinów“ trzeba uważać, co najmniej, za bardzo śmiało postawione, ale w tem jednem można się z autorką w zupełności zgodzić, że ludy te pierwotne były szczęśliwe, „bo nawet historji swej nie miały“. A zaczyna się ta historja hramotami kniazia Lwa, nadaniami dla władyków przemyskich i monasterów, a później idzie straszna potęga tatarów: czasy kiedy to „jeden książę po drugim szedł do seraju nad Achtubą całować baszma, tj. odcisk stopy chańskiej, kłaniać się mongolskim bałwanom i z rąk chana przyjmować godność książęcą. Halicz stolica Daniły leżał w gruzach, w Kijowie macierzy miast ruskich na ołtarzach świątyń porosła trawa“. A potem znowu niezgoda bojarów, okrutne mordy i trucizna z wyrafinowanem bizantyńskiem okrucieństwem, potęga Kazimierza Wielkiego i panowanie polskie, świetne zrazu i idejowe, a potem coraz smutniejsze... smutniejsze, aż wreszcie śmierć... martwota... i zmartwychwstanie, którego początkiem żałobne suknie pań naszych na wieść o kulach moskiewskich i bohaterstwie ludu na ulicach Warszawy w r. 1861 i dzisiejsza praca nad odrodzeniem narodu.

Cały ten olbrzymi okres czasu przeszła autorka nieledwie rok po roku, podając sposobem kronikarskim obok zdarzeń najważniejszych dziejowych także i najbłahsze szczegóły, które udało się wydobyć z aktów starych, lub nawet z ustnych tradycji. Ale nie jest to kronika w rodzaju średniowiecznych, jakie odnajdujemy często w klasztorach, zwłaszcza w Wielkopolsce. Chociaż bowiem zawiera ona np. daty, kiedy panował pomór na ludzi lub bydło, to równocześnie nie gardzi autorka i opowiadaniem żyjącego jeszcze p. Piotra Lenińskiego, „którego ród sukcesyjnie handluje świniami, wyrabia i sprzedaje wędliny“. Wprawdzie opierając się na rewelacjach tegoż p. Piotra Lenińskiego, nie można dojść do wielkich wniosków historycznych, ale niemożna też przechodzić nad nimi do porządku dziennego, jakby to uczynił np. średniowieczny mnich benedyktyński, spisując zdarzenia *„pro aeternam rei memoriam“*.

Zrozumiała to autorka i dlatego też jej kronika, abstrahując już od swojej malowniczości i zajęcia, jakie budzi w czytelniku, ma także i dużą historyczną wartość, jako zbiór uporządkowanych materjałów.

Przeszłości wynikiem jest dzisiejszy stan Staromiejszczyzny, okolicy najuboższej w całej Galicji. Na opisanie ogólnego stanu powiatu pod względem statystycznym, ekonomicznym i przemysłowym wystarczył autorce jeden tylko rozdział — i słusznie — bo niema tam nic takiego, coby na większą specjalną zasługiwało uwagę. Z większą natomiast dokładnością traktowana jest etnografja tej okolicy. Strój ludowy — typ ludności, mieszkania chłopskie, sposoby leczenia, przesądy, zabobony, zwyczaje, obrzędy i t. d. i t. d. stanowią całość, której zebranie i ugrupowanie nie tylko, że przynosi zaszczyt autorce, ale nadzwyczaj cenny stanowi materjał ludoznawczy. Jużto

---

Czy Zaprzaniec?

Urywek ze wspomnień powstańca.

(2) napisał **B. A.**

Komunikacje przytem były wielce niebezpieczne, z powodu ośmielenia Moskali bezczynnością powstańców. Bandy kozaków po kilkanaście koni zapędzały się o trzy lub cztery mile od Lublina, organizując warty chłopskie po wsiach i plądrując dwory i plebanje.

Przyznać ze smutkiem należy, że dwie szajki rozbitków powstańczych, pod dowództwem łotrzyków, przybierających nazwiska znanych dowódców pozwalały sobie nakładać kontrybucje na dwory, — co zniechęcało patrjotów i narażało powagę Rządu Narodowego.

Utworzenie oddziałku konnego z 25-ciu ludzi, pod dowództwem jakiegoś Hejzyka (pseudonim żydowski), w części temu na razie zaradziło, napędzając strachu kozakom i karząc szubienicą opryszków niepoprawnych.

Dokładając wszelkich usiłowań do nowych formacyj, lub do zwiększenia powyższego oddziału, potrzebowałem środków do tego odpowiednich, gdy, niestety, podatki narodowe coraz trudniej i leniwiej wpływały. Ściąganie ich siłą okazało się nieuniknionem, a uzbrojenie ku temu oddziałku policji narodowej było koniecznem.

W owych ciężkich czasach ogólnego zwątpienia, gdy instynkt zachowawczy — zwierzęcy brał górę w ogromnej już większości nad wszelkiemi ideami i poczuciem obowiązku narodowego, istnienie powstańca a tem więcej organizatora mającego z sobą pieczęcie, blankiety i t. d., nie należało wcale do łatwych i przyjemnych. Nie dość, że na drożynach (bo już drogami jeździć nie można było), musiał się on wykłamywać wartom chłopskim a wymykać często napotykanym kozakom, to jeszcze widział on wszędzie, iż przywozi on z sobą strach paniczny, i że w chwili odjazdu, najwięcej radzi mu będą!

Były jednak i wyjątki, które oceniając pobudki działania tych, co w każdej chwili na śmierć musieli być gotowi, wyżsi byli nad instynkt samoochronny i z gotowością do poświęcenia siebie, z prawdziwie polską gościnnością nas przyjmowali.

Do takich domów należały: w Krzczonowie dwór zacnej pani Osten i plebanja prałata ks. Sosnowskiego, — w Czerniejowie dwór dzierżawcy

pani Grynbergowa na tem polu jest specjalistką, a widać to choćby z tej dziwnej jakiejś melancholijnej ironji, z jaką opowiada o porzucaniu przez lud dawnych strojów i zwyczajów. Żal ten za przeszłością chwyta i czytelnika za serce, tak, że boleje on razem z autorką nad pastuszkami powiatu staromiejskiego, którzy zamiast melodyjnych swych dawnych pieśni, wyspiewują „Fischerin du kleine“, „Na zielonej łące“, a teraz już zapewne i piosnkę „O Lolu“, lub „o młynarce z pewnej wsi“, a żal mu także i tej baby, która porzuciwszy strój dawny, przyszła razu pewnego do cerkwi w starym fraku, kupionym na tandecie.

Jeszcze jedna rzecz, którą pani Grynbergowej za wielką poczytać należy zasługę. Jestto obfity zbiór pieczęci gminnych. Dotychczas, o ile mi wiadomo nie wielu etnografów zajmowało się tą częścią sfragistyki, a przecież pieczęcie te nieraz bardzo starożytnego pochodzenia, bardzo ważny stawić mogą materjał nie tylko ludoznawcy, ale i historyczny.

Dokładna mapka powiatu uzupełnia ten ogromny tom o Staromiejszczyźnie, który z pewnością długo, bardzo długo będzie musiał czekać zanim mu jakiś późniejszy badacz powie, że jest już przestarzały.

Fr. Jaworsk

Polacy w Berlinie.

II. Z jakich żywiołów składa się zorganizowana część kolonji polskiej w Berlinie? W pierwszej linji z robotników fabrycznych, o pewnych kwalifikacjach zawodowych, które ich różnią od prostych robotników, o pewnej kulturze zachodniej i rodzimej; następnie z rzemieślników, którzy już z „gotowym fachem“ w ręku przyszli do Berlina, aby znaleść dogodniejsze warunki bytu a którzy, choć w kraju może na własny rachunek pracowali, tu pracują dla hurtownych odbiorców, są więc też niejako robotnikami; dalej wypada wymienić już jako osobną warstwę rzemieślników, którzy prowadzą samodzielnie przedsiębiorstwo w zakresie swego zawodu (nazywają się oni tu

---

(nazwiska zapomniałem), w Biskupiu na przedmieściu Lublina dom państwa Zdzisł. Padorewskich i wiele innych. — Cześć pamięci zacnych obywateli!

W czasie o którym piszę podobną gościnność znalazłem w Monenkach pana Wołowskiego, gdzie kilkakrotnie przebywałem.

Wioska Monenki leży na wschód od Lublina, o niecałe trzy mile od miasta, a prawie o milę jest oddaloną od szosy prowadzącej z Lublina do Warszawy.

Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Monenek, gospodarz przyjął mnie ostentacyjnie dla pozoru, jako sąsiada przybyłego z dalekich okolic. To mu szło tem łatwiej, iż piękne siwojabłkowite konie, tudzież ładny powozik z furmanem w kerezji i krakusce nadawały mi wygląd wcale „o b y w a t e l s k i“ (Zaprzęg ten był darem narodowym zacnej właścicielki Sobieskiej Woli, a furmanem powstaniec).

Za drugim, czy za trzecim powrotem do Monenek, gospodarz zostawiwszy mi swój dwór do rozporządzenia, czy z potrzeby, czy przez ostrożność wyjechał do Lublina, co jemu i mnie na dobre wyszło.

Dworek w Monenkach, zbudowany na kilkustopniowem podmurowaniu, składał się jak zwykle dwory z sieni i pięciu pokoi, tak iż wszedłszy do sieni na prawo, czy na lewo, cały dom w około obejść było można. Po prawej stronie był salonik a następnie sypialnia gospodarza, po lewej jadalnia, a potem sypialnia zarządczyni domu, środkowy zaś pokoik służył za skład różnych rupieci.

W sprawach jakich spełnienie leżało w mych obowiązkach, była mi wielce pomocną niejaka pani Wiśniewska, wdowa, czy żona wygnańca syberyjskiego.

Jak w życiu jednostek, tak i narodów, jak w pokoju tak i w wojnie, rola kobiety jest niezaprzeczenie wielką, a cóż dopiero w powstaniach naszych zacnych pełnych poświęcenia Polek! — Były one wszędzie czynne i pełne odwagi w najtrudniejszych okolicznościach, lecz wytwór i miano tak zwanych „k u r j e r e k“ były własnością Lubelskiego i Podlaskiego. Każdy oddział, każdy dowódca miał swoją, lub swoje kurjerki a więc i organizacja cywilna także swoje miała.

(C. d. n.).

— jak i w Poznańskiem — „przemysłowcami“); wreszcie — kupców i w ogóle w zawodzie handlowym pracujące osoby. Dwie ostatnie wymienione warstwy objąć można jedną nazwą — dorabiającej się klasy mieszczańskiej.

Niema potrzeby zostanawiać się szczegółowo nad powodami, które skłoniły tych ludzi do osiedlenia się w Berlinie, gdyż sama różnorodność ich zawodów i stanowiska społecznego przemawia za tem, że powody te coraz bardziej się indywidualizują.

W pośród wykwalifikowanych robotników fabrycznych widzimy jednostki, które zdołały się dzięki wypadkom i swym zdolnościom wybić z szarej masy prostych robotników, o których była mowa poprzednio; drobni rzemieślnicy, jak ślusarze, szewcy, stolarze, krawcy, i t. d. nie byli w stanie utrzymać się o własnych siłach w Poznańskiem — idą więc do Berlina poddać się zależności u wielkich hurtownych odbiorców i kapitalistów; gdy im szczęście dopisze, z uciułanym groszem zakładają na własną rękę przedsiębiorstwo i stają się „przemysłowcami“. To samo rzec można o kupcach, którzy przyjeżdżają do Berlina w charakterze subjektów handlowych, aby z czasem założyć przedsiębiorstwo własne. Naturalnie mowa tu tylko o osiadłych na stałe Polakach; o przyjezdnych na pewien czas np. na naukę w jakimś większym interesie handlowym nie mówimy.

Organizacja przyjęła się u powyżej wyszczególnionych warstw dlatego pomyślnie, że usiłowania jednostek do tego celu zmierzające natrafiły już na pewien podatny grunt. W klasie wykwalifikowanych robotników fabrycznych i w klasie rzemieślników spotykamy bardzo często objawy bezgranicznego przywiązania do kraju, objawy, z których pierwszym i najsilniejszym jest c h ę ć d o r o b i e n i a s i ę i p o w r o t u d o k r a j u. Zresztą nierzadko widzimy w tej właśnie klasie ludzi, którzy połowę swego zarobku odsyłają pozostałej w kraju rodzinie, aby np. oczyścić z długów swą ojcowiznę. Małżeństwa mięszane w tych sferach są rzadkie i uchodzą za zbrodnię przeciw narodowości. Żądza oświaty jest wielka i w dwojakim kierunku się ujawnia: popierwsze, jako chęć poznania dziejów swego narodu, dążenie do przejęcia się rodzimą kulturą; a powtóre, jako dążenie do zapoznania się z kulturą zachodu. Ułatwienie pracy w pierwszym z wymienionych powyżej kierunków, obrona przeciw germanizacji, jest celem, który sobie wytknęły istniejące w Berlinie towarzystwa polskie. Jest ich około trzydziestu, a stosunki między niemi utrzymuje „komitet towarzystw polskich“ w którym zasiadają reprezentanci wszystkich towarzystw. Zadaniem komitetu jest czuwanie nad tem, aby które z towarzystw nie spaczyło nakreślonych celów swego działania. Jest towarzystwo „kupców“ „przemysłowców“, „piekarzy“, „ogrodników“, jest towarzystwo „Polek“, jest towarzystwo „Wanda“ itd. Od lat kilku istnieją towarzystwa robotników katolickich w Berlinie i na przedmieściach (w Rixdorfie). Zebrania odbywają się, o ile to możliwe, co tydzień. Liczba członków wynosi przeciętnie 60—70; najwyższą liczbę członków wykazuje towarzystwo katolickich robotników, blisko 300. Składki członków wynoszą najczęściej 10 fen. na mieciąc. Zapomocą tej nizkiej kwoty trzeba pokryć wydatki na bibljotekę i tp. Za salę zazwyczaj się nie płaci, ponieważ posiedzenia odbywają się w lokalach restauracyjnych rezerwowanych dla towarzystwa na pewien zgóry oznaczony dzień w tygodniu. Zebranie odbywa się przy piwie. Treścią posiedzenia jest zazwyczaj odczyt, wygłoszony przez jakiego z akademików. Ponieważ o akademikach berlińskich zamierzamy osobno pomówić, punktu tego bliżej nie omawiamy. Zazwyczaj dzieje się tak, że jeden i ten sam odczyt kolejno bywa ogłaszany w kilku towarzystwach. Statuty towarzystw wykluczają zupełnie odczyty i dyskusje polityczne. Odczyty więc są najzupełniej pozbawione tego charakteru; podamy dla przykładu parę tematów: „O Mickiewiczu“. „O odsieczy Wiednia“. „Pogląd na historję polską w XIX wieku“, „O czekach“, „O muzeum handlowem“, „O wystawie paryskiej“, „O słońcu i gwiazdach“.

Po odczycie następuje dyskusja, zazwyczaj bardzo żwawa.

Zdarzyło mi się swego czasu jako prelegentowi, że mnie zapytał po odczycie z historji polskiej jeden z członków towarzystwa katolickich robotników, czy wierzę, że sprawiedliwość na świecie ostatecznie zwyciężyć musi, bo „jeśli nie — prawił dalej — to w takim razie, czy warto ze złem walczyć?“

W tem zapytaniu skrystalizowało się poniekąd wszystko, co możnaby o duchowej zewnętrznej stronie życia tej warstwy emigracji powiedzieć. Przeciętny gospodarz, a nawet i rzemieślnik z małego miasteczka w Księstwie nie zdobył by się na ten budzący się z pierwszego snu sceptycyzm, który z czasem w zdrowy krytyczny pogląd przerodzić się zdoła; co najwyżej stać by go było na tę naiwną wiarę, że co powie prelegent, na to już przysięgać śmiało można.

We wszystkich towarzystwach polskich w Berlinie panuje wrogie dla socjalnej-demokracji usposobienie. Usposobienie to wynika z przeświadczenia, że socjalizm jest doktryną antynarodową, a zatem, że nie można być Polakiem i socjalistą.

I w Księstwie pomiędzy temi samemi warstwami panuje nieprzychylne dla tej doktryny usposobienie; tam jednak jest ono odrazą, zaszczepioną sztucznie, podczas gdy w Berlinie jest wynikiem już przecież krytycznego myślenia. Na wielkim wiecu Polaków, który się odbył w styczniu b. r. prosili o głos socjaliści. W kraju by ich nie dopuszczono wtedy do głosu,— w Berlinie zaś pozwolono im mówić, ale tylko po to, aby potem dosadnie skrytykować wśród grzmiących oklasków całej sali zebranych.

W dotychczasowej pracy przyświecał towarzystwom polskim jeden cel: uchronić zamiesz-

kałych w Berlinie Polaków od germanizacji, wspierać ich w biedzie i zachęcać do wytworzenia lepszego materjalnego bytu zapomocą rozwijania w nich zmysłu oszczędności.

Do pierwszego celu — ochrony przed germanizacją dążą towarzystwa przez urządzanie odczytów, pogadanek, a wreszcie i towarzyskich rozrywek w postaci rozmaitych obchodów, zabaw, majówek. W ogólności wystarcza to do podtrzymania świadomości narodowej; gazeta polska dopełnia reszty.

Na miejscu, w Berlinie, istnieje polskie pismo, założone za zbiorowe fundusze, — „*Dziennik Berliński*“. Przynajmniej tak samo, a może nawet i bardziej rozpowszechniony jest między Polakami w Berlinie ilustrowany tygodnik „*Praca*“, wychodzący w Poznaniu, który liczy w Berlinie do 600 czytelników.

Zarówno towarzystwa, jak i gazety spełniają swe zadanie jednak tylko wobec dorosłych, dzieci zaś są wydane na pastwę nieuchronnej germanizacji. Gdy warunki pracy zmuszają rodziców do pozostawienia dzieci samopas (a zdarza się to najczęściej), więc o ile śladów polskiego pochodzenia nie zaciera w nich szkoła, to dzieła tego dopełnia ulica i towarzystwo rówieśników. Są rodziny czysto polskie, w których np. matka nawet nie włada niemieckim językiem, a dzieci mówią między sobą tylko po niemiecku. Smutne to, ale rady na to niema. Wszelkie nawoływania na zebraniach, obchodach i t. d., aby rodzice starali się przeciwdziałać germanizacji dzieci, nie odnoszą skutku, w większości wypadków bowiem nie może być poprawy tam, gdzie niema winy.

Gdy z wielkim trudem i kosztem materjalnych ofiar założono szkółki prywatne polskie dla dzieci, policja pruska zabroniła nauki. Przekonanie, że germanizacja dzieci jest czemś nieuchronnem, z czem się należy pogodzić, tak się już utarło, że na wieczorkach, zabawach i t. d. zebrani entuzjastycznie oklaskują, jakby jakie dziwo, każde dziecko, które jest w możności popisać się wydeklamowaniem choćby jakiegoś czterowiersza.

To też w umysłach światlejszych obywateli kolonji polskiej oddawna już się pojawiło przekonanie, że niema sposobów skutecznego przeciwdziałania germanizacji młodego pokolenia. Jakie stąd wysnuto konsekwencje, omówimy przy rozpatrzeniu stosunku emigracji do kraju.

Drugim strasznym nieprzyjacielem, od którego obronić by się chciała zorganizowana kolonja polska jest — obok germanizacji — bieda. Uciekając od biedy z kraju, Polacy nie przywożą ze sobą na grunt berliński zasobów pieniężnych — więc brak zajęcia lub jakieś nieprzewidziane nieszczęście, choroba, lub śmierć jednego z członków rodziny, wtrąca aż nazbyt często całą rodzinę w otchłań nędzy tem straszniejszej, że wśród obcych ludzi. Aby członków swych w tych razach bronić od ostatecznej nędzy, prawie wszystkie towarzystwa mają swe specjalne kasy, z których wydają zasiłki w razie choroby lub śmierci członków. Niezależnie od tego istnieje kilka towarzystw filantropijnych. Jest towarzystwo „Przytulisko“, które udziela bezpłatnie schronienia przez 3 doby. Korzystają z tego najczęściej powracający o suchym chlebie do kraju biedacy, niekoniecznie z Berlina. Istnieje też stowarzyszenie miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. Członkowie stowarzyszenia tego wyszukują istotną biedę i rozdają zapomogi. Zapomóg tych zazwyczaj udziela towarzystwo przez czas dłuższy jednej i tej samej rodzinie zazwyczaj w postaci „bonów“ na chleb, mąkę lub mięso. System tych bonów, czyli kwitków, za okazaniem których otrzymuje się oznaczony na kwitku towar utrzymał się pomimo różnych niedogodności dlatego, że wyklucza zakup alkoholicznych napojów. Zarówno w męzkiem, jak i w żeńskiem towarzystwie św. Wincentego bierze żywy udział miejscowa inteligencja polska i to niechaj jej tu poczytane będzie za zasługę w bardzo niepokaźnym zresztą szeregu jej zasług, położonych dla sprawy rozwoju kolonji polskiej w Berlinie.

R.

Z Syberji i Kamczatki.

Ks. Krzysztof Szwermycki.

(2)

Ksiądz Krzysztof Szwermycki pochodził z rodziny wieśniaczej, litewskiej, urodził się w Suwalskiem w roku 1814. W powstaniu 1831 roku brał już udział czynny. Wstąpił do zakonu Marjawinów w Marjampolu (powiat Augustowski) i był następnie przełożonym w klasztorze, o którym mowa. Gdzie się kształcił, nie wiem, lecz to pewno, że posiadał ogładę towarzyską i wykształcenie ogólne, ludzkie, o wiele wyższe, niż je dać może wychowanie klasztorne, lub seminaryjne. Młodzież uniwersytetu królewieckiego odwiedzała chętnie klasztor Marjampolski dla obcowania ze

światłym i wykształconym kapłanem. Z tego czasu, a mianowicie około r. 1845., datowała znajomość księdza Krzysztofa z Dyonizym Skarzyńskim, Juljanem Klaczko i innymi, wykształconymi wychowańcami uniwersytetu królewieckiego.

W lutym r. 1846. uwięziono ks. Szwermyckiego i przewieziono do cytadeli w Warszawie. Cztery lata trwało śledztwo i całe te lata przesiedział w więzieniu, ztamtąd wysłano go na mieszkanie do Irkucka, dokąd przybył w r. 1851. Generał - gubernator wschodniej Syberji, sławny w dziejach tego kraju, hr. Murawjew Amurski, zajęty będąc przyłączeniem olbrzymich obszarów lewego porzecza rzeki Amuru do azjatyckich posiadłości państwa rosyjskiego, wprzęgał chętnie każdego zdolniejszego człowieka do rydwanu swojej polityki zaborczej, przyczem zwykle nie baczył na narodowość i wyznanie. Mając na celu nietylko przywłaszczenie, lecz i zaludnienie, a także przeobrażenie całej prowincji, gnał w te strony nowych osiedleńców. Pomiędzy tymi ostatnimi liczono około 200 Polaków; byli to żołnierze z pułków, konsystujących w Rosji europejskiej. Mianowano ich kozakami i osiedlono w stanicach nowozbudowanych na Amurze i Ussuri. Do tych osiedleńców, Polaków, wysłał generał-gubernator księdza Szwermyckiego „w celu utwierdzenia ich w religji", a przytem polecił mu poczynić próby, dotyczące nawracania na wiarę chrześcijańską tubylców miejscowych.



Podwójna ta missja, jak łatwo przewidzieć było można, nie wiele miała szans do powodzenia, przyniosła atoli tę korzyść dla wygnańców naszych, że za wstawieniem się księdza do naczelnej władzy pozwolono im po kilku razem zamieszkać w jednej stanicy. To małe dobrodziejstwo było jedyną możebną ulgą, jaką w ówczesnych czasach dało się wykołatać dla biednych skazańców*). Podróż swoją po Amurze ks. Szwermycki opisał i wydał w „Pamiętniku religijno-moralnym" w Warszawie.

Powróciwszy do Irkucka ks. Krzysztof pełnił obowiązki proboszcza. Z jaką gorliwością i z jakim skutkiem pracował na swoim stanowisku, wspomniałem uprzednio, tutaj tylko powtórzyć jeszcze muszę, że był wzorowym kapłanem i najzacniejszym człowiekiem.

W roku 1894. został ks. Szwermycki napadnięty przez zbójców we własnem mieszkaniu. Znaleziony prawie bez życia i ocucony przez domowników, nie wrócił już do zdrowia, umarł w kilka miesięcy po wypadku, który za naszych czasów trafiał się dosyć często w stolicy wschodniej Syberji. Ci, co znali osobiście księdza Szwermyckiego, powtarzali często, że „gdybyśmy mieli więcej takich kapłanów, jakim był nasz proboszcz w Irkucku, o ileż światlejszym, cnotliwszym, a tem samem i szczęśliwszym byłby lud nasz cały, „bo tam gdzie duchowieństwo jest światłe, moralne i gorliwe, tam lud bywa moralny i wykształcony, chociażby nawet i czytać nie umiał".

Zastanawianie się głębsze nad życiem osobistości szlachetnych, rozważanie czynów ludzi poświęcenia ma to do siebie, że budzi w nas uczucia podniosłe, pragnienie: posiadać wielką ich duszę, żyć ich serca biciem.

Dr. B. Dybowski.

Kartki naukowe.

Czy świadomość istnieje u zwierząt?

przez

Dr. M. STEFANOWSKĄ.

Badając zachowanie się małpy, psa, słonia w rozmaitych okolicznościach życia, dostrzegamy, że postępują tak mniej więcej, jak postąpiłby człowiek w podobnych wypadkach. Zwierzęta odczuwać mogą ból, zazdrość, gniew, przywiązanie, wdzięczność, pokorę i t. p. uczucia. Mówimy te-

*) Wszyscy ci nieszczęśliwi zmarnowali życie swoje na tych nowych miejscach osiedlenia. Podczas przyjazdu generał-adjutanta eskadr-majora Skołkowa 1869 r. podawali prośby o pozwolenie powrotu do kraju, żaden z nich jednak pozwolenia nie uzyskał, a jednak i po tej odmowie nie stracili jeszcze nadziei. Tak np. Karpiński, osiedlony w stanicy „Kozakiewiczewa" na Ussuri, ożeniony z rosjanką, ojciec trojga dzieci, marzył jeszcze w latach 70 o powrocie do Warszawy, zkąd był rodem. Nadzieja powrotu podtrzymywała skazańców i chroniła ich przed upadkiem.

dy, że wyższe zwierzęta mają świadomość, to jest, że w pewnej mierze zdają sobie sprawę z otaczających je wypadków i odpowiednio do nich stosują swe sprawowanie.

Innemi słowy wyższe zwierzęta posiadają życie duchowe, nie tak wprawdzie wzniosłe i urozmaicone, jak życie duchowe człowieka, niemniej jednak mające z niem niejakie cechy podobieństwa. Te objawy ducha zwierzęcego przez długi czas negowane i zapoznane, zdobyły sobie nareszcie prawo istnienia. Ale badawczy duch ludzki nie ma granic, zrozumiawszy, że świadomość istnieje u wyższych zwierząt, zapytuje siebie: a co się dzieje w mózgu innych stworzeń? Czy świadomość istnieje u ptaków? u płazów? A dalej i dalej gdzie się ona kończy, lub gdzie się zaczyna w państwie zwierzęcem? Jestto właśnie jedno z najważniejszych zagadnień porównawczej fizjologji systemu nerwowego.

Niektórzy autorowie twierdzą wprawdzie, że poszukiwanie świadomości u niższych zwierząt nie nadaje się do badań naukowych, gdyż świadomość może być dowiedzioną jedynie za pomocą samoobserwacji, nie wiemy przeto co się dzieje w głowie innych stworzeń. Zwolennicy takiego zapatrywania zapominają, że istnieje sposób pokonania tej trudności i że świadomość znajdować się może jedynie tam, gdzie istnieje pamięć. Gdy tylko pamięć zapada w stan spoczynku, natychmiast tracimy świadomość; w stanie zemdlenia, w głębokim śnie, przy niektórych wypadkach otrucia znika pamięć assocjacyj, a wraz z nią i świadomość.

Lecz objaśnijmy wpierw, co się nazywa pamięcią assocjacyjną. Naprzykład, zapach jakiegoś kwiatu może nagle wywołać w naszej pamięci wspomnienie pewnego krajobrazu, na który patrząc, uczuliśmy już poprzednio tenże sam zapach.

Gdy zwierzę czujące głód, idzie szukać pokarmu w tem miejscu, gdzie mu go zwykle stawiano, musimy także przyznać, że zwierzę to posiada pamięć assocjacyjną, gdyż podobnie, jak człowiek umie ono zlewać w jedną całość pewne wypadki, które się jednocześnie, lub prawie jednocześnie wydarzyły.

Ponieważ wiemy, ze świadomość koniecznie opierać się musi na pamięci assocjacyjnej, to zdobywamy zarazem sposób, który ułatwia nam poszukiwanie świadomości w świecie zwierzęcym; zwierzęta, nie mające pamięci, nie mogą mieć również i świadomości.

Pamięć znajdujemy u większości ssawców. Pies, uciekający od podniesionego nań kija, albo przyjaźnie witający swego pana posiada pamięć kojarzeń. Istnieje ona także u ptaków; papuga, ucząca się gadać, gołąb, wracający do swego gniazda, dają dowody pamięci. Żabki drzewne można nauczyć, aby przy pewnym dźwięku udawały się na oznaczone miejsce dla otrzymania pokarmu U niektórych ryb wyraźnie pamięć odkryto.

Ale badanie pamięci u zwierząt bezkręgowych jest bardzo utrudnione. W ostatnich latach ukazało się kilka prac naukowych, autorowie których usiłują dowieść, że nawet tak wysoko rozwinięte zwierzęta, jak pszczoły i mrówki, pamięci nie posiadają, a czynności swe wykonywują machinalnie i odruchowo. Jednakże z ostatecznym wnioskiem w tej kwestji zaczekać należy na dalsze poszukiwania.

Prawdopodobnem jest, że pamięć istnieje także u pająków, u wyższych raków i głowonogów. Ale u zwierząt bezkręgowych, stojących jeszcze niżej, nie odkryto ani śladów pamięci, a zatem należy odmówić im świadomości.

Entuzjaści upatrują wprawdzie wszędzie w naturze świadomość i człowieczeństwo, ale zapatrywania takie nie są oparte na żadnych dowodach. Dosyć rozpowszechnionem jest zdanie, że świadomość istnieje w całej serji zwierząt, nawet u pierwotniaków. Według tego pojęcia wypada koniecznie przypisać świadomość i roślinom. Ale w takim razie z równą słusznością możnaby przypisać świadomość i płycie fotograficznej i wszystkim w ogóle pierwiastkom chemicznym, gdyż one „wybierają“ i łączą się jedynie z niektóremi ciałami, a dla innych są obojętne. Takie istotnie zdanie wygłaszają niektórzy przyrodnicy. Nie mogą oni wyobrazić sobie, że świadomość przywiązaną być może tylko do niektórych gatunków i że brak jej najniższym zwierzętom. Rzecz naturalna, że zwierzęta, nie mające świadomości, nie mają także woli.

Nasuwa się teraz pytanie, w jakiej części systemu nerwowego mieści się świadomość? Aby wyjaśnić ten przedmiot, weźmiemy pod uwagę jedynie zwierzęta kręgowe, a to dlatego, że są najlepiej zbudowane, a powtóre i dlatego, że ich system nerwowy zbudowany jest według takiegoż samego planu, jak system nerwowy ośrodkowy człowieka. A więc wzdłuż grzbietu i szyi ciągnie się rdzeń pacierzowy, a w głowie znajduje się mózg, w którem odróżniamy następujące części: rdzeń przedłużony, móżdżek, szare jądra u podstawy mózgu i wreszcie korę mózgową. Która z tych części jest siedliskiem świadomości?

Najwięcej rozpowszechnione jest między uczonymi zdanie, że świadomość mieści się w najwyższej warstwie mózgu, to jest w korze mózgowej, dodajmy tu nawiasem, że kora mózgowa nie jednakowo rozwinęła się u rozmaitych zwierząt kręgowych. I tak żaby posiadają jej zaledwo odrobinkę, jaszczurki, węże już nieco więcej, a ptaki znaczną ilość. U ssawców, tak zmyślnych jak pies, koń, kora mózgowa grubą warstwą cały mózg okrywa; u człowieka nakoniec rozwój jej doszedł do szczytu, tak, iż stanowi ona największą część mózgu. Widzimy tedy, że w miarę rozwoju kory mózgowej inteligencja wznosi się coraz to wyżej.

Ale, aby przekonać się należycie, do czego mianowicie służy kora mózgowa, uczeni wykony-

wali bardzo wiele doświadczeń; polegały one na tem, że zwierzęciu wycinano tę część mózgu i następnie przez długi czas obserwowano, jakie zmiany zajdą w tem zwierzęciu, gdy po operacji zupełnie wróci do zdrowia. Spostrzeżono tedy, że żaba po takiej operacji nie ulega żadnym zmianom; łapie i połyka muchy, jak dawniej, gdy nadchodzi pora zimowa, zagrzebuje się w mule, zupełnie tak, jak przedtem czyniła. Węże po stracie tej części mózgu również nie wiele się zmieniają. Natomiast wycięcie kory bardzo ujemnie wpływa na umysłowość ptaków i ssawców. Zwierzęta te po owej operacji mogą żyć nawet bardzo długo, jeżeli podawać im pokarm, którego same znaleźć nie umieją. Czują one ból, słyszą dźwięki, widzą przedmioty, umieją chodzić, ale nic nie rozumieją, co się dokoła nich dzieje, zauważono, że nie znają strachu, gdyż nie odróżniają żywych przedmiotów od martwych; przyjaciół od nieprzyjaciół, słowem, straciły zupełnie pamięć, a zatem i świadomość.

Ciekawym jest bardzo przykład pewnego psa, któremu uczony niemiecki Golty odjął całkowicie obie półkole mózgu. Pies ten żył przez kilka lat i zachował wszystkie niemal funkcje fizjologiczne. I tak budził się ze snu na dźwięk trąbki, mróżył powieki, gdy do ciemnego pokoju nagle wnoszono światło; pożerał mięso i mleko, gdy mu je do nosa zbliżono, ale natychmiast pokarm wyrzucał, jeżeli uczuł, że ma smak przykry, np. gorzki wskutek domieszania chiny.

Pomimo zachowania tych wszystkich funkcyj, pies ten stracił wszystkie objawy pamięci: nie poznawał on ani swego pana, ani swych współtowarzyszy. Słyszał dźwięki, ale słowa groźby i pieszczot nie wywierały nań żadnego wrażenia. Widzimy tedy, że pies ten po operacji zachował wszystkie czynności odruchowe, wrodzone, ale pamięć stracił niepowrotnie.

Z powyższych doświadczeń wnioskować możemy, że kora mózgowa jest koniecznie potrzebną do funkcji pamięci assocjacyjnej a zarazem i do świadomości. Nie należy jednak kory mózgowej uważać za „organ“ świadomości, jak to niektórzy czynią. Organem świadomości jest, być może cały mózg, a bodaj nawet cały system nerwowy, dopóki połączony jest z półkulami mózgu.

Z pism i książek.

Sami sobie. Książka zbiorowa. Warszawa, nakładem warszawskiej Kasy literackiej. Druk P. Laskauera i W. Babickiego 1900.

Omawianie »jednodniówek« i podobnych im wydawnictw, z konieczności posiadać musi charakter bardziej sprawozdawczy, aniżeli krytyczny. Tem więcej tyczy się to »książki zbiorowej«, «Sami sobie«, wydanej na rzecz Kasy literackiej w Warszawie, albowiem znajdujemy w niej prace, urywki lub aforyzmy przeszło stu beletrystów, poetów, krytyków i dziennikarzy, kilkadziesiąt rysunków i kilkanaście kompozycyj muzycznych.

Rzecz jasna, że w tej liczbie znajdą się rzeczy słabsze, ale te nikną wobec przewagi utworów dodatnich.

W beletrystyce na plan pierwszy wysuwa się piękna, lubo szablonowa w pomyśle nowela Sienkiewicza »Na Olimpie«, głęboka »Bajka« Prusa, piękny szkic Rabskiego »Ze wspomnień studenckich« i »Moc ziemi« Jana Kowerskiego.

Z poezyj wyróżniają się utwory Selima, »Słotny dzień« Daniłowskiego, »Tu się droga załamała«... Konopnickiej i udatny sonet Nowińskiego »Ciała i dusze«.

Z krytyków Kallenbach podaje ciekawy artykuł »Książeczka Franciszka Malewskiego«, zawierający wiele interesujących szczegółów o Mickiewiczu — Biegeleisen, dwa listy odnoszące się do ostatnich chwil Lelewela, zaś Mèyet nieznany autograf Mickiewicza.

Z rysunków wyróżniają się prace Chrzanowskiego, Ilinicza, Socharskiego, Pruszyńskiego i dwa humorystyczne obrazki Kostrzewskiego.

Z kompozytorów wśród innych spotykamy nazwiska Melcera, Niewiadomskiego i Żeleńskiego.

A jednak mimo tej obfitości treści dziwić się należy, że książka nie zawiera utworów Żeromskiego, Sirki Reymonta, że z poetów nie widzimy najwybitniejszych, bo Kasprowicza, Langego, Or-Ota i wielu innych. Szkoda, że wydawcy nie starali się o zapełnienie tej rażącej luki.

Niemile zaś rażą dwa utwory »Okropność« (Balada w stylu najnowszym) Fantazego i Lubowskiego »Nieprzeparty prąd« (Dramat pawie taki sam, jak Ibsena). »Balada« dobrą by była w piśmie humorystycznem — »Dramat« stwierdza, że łatwiej kpić z wybitnych ludzi, aniżeli choć w części im dorównać. *Adam Stodor.*

W *Zeitschrift für Socialwissenschaft* (pod kierunkiem dr. Juljusza Wolfa, prof. wszechnicy wrocławskiej), prof. Fryderyk Ratzel umieścił zajmujące studjum: »O niektórych zadaniach etnografji politycznej«.

Autor wykazuje potrzebę stworzenia umiejętności takiej, wyjaśniając jej przewidywaną pożyteczność. »Oczekujemy po niej przedewszystkiem zdrowego zrównoważenia sądów o ziemiach i ludach«. Dotychczas kraje ocenia się zwykle ze stanowiska geograficznego, jak gdyby ludności tubylczej można było nie brać w rachubę. Szkodzi to bardzo nie tylko polityce kolonizacyjnej, lecz i międzynarodowej: panamerykanizm np., wyrosły na gruncie Stanów Zjednoczonych, które mają ludność rasy białej (prct. murzynów oraz indjan jest bardzo drobny), nie liczy się z okolicznością, że tuż obok w Meksyku 81 prct. ludności tworzą indjanie oraz najrozmaitsi mieszańcy. Dalej etnografja polityczna powinna wskazać rolę, właściwą każdemu ludowi w dziejach cywilizacji ogólno-światowej, co przyczyni się wielce do szanowania odrębności narodowych, do pielęgnowania raczej, niż tępienia naturalnych uzdolnień, upodobań i dążeń. W tem miejscu Ratzel wtrąca zdanie zbyt śmiałe. W życiu dziejowem — powiada — mniej znaczą władze umysłu, niż wola i pierwiastki obyczajowe: »Wpływ danego ludu w świecie czynu zależeć może tylko od jego zdolności praktycznych«; poeci, genjusze sztuki etc. są zaszczytem, lecz nie siłą; Prusy ich nieposiadały a jednak .. „Najlepszą wagą do oznaczania wartości ludów będzie zawsze władanie ludami — „wojna jest kamieniem probierczym wartości ludzi“ i t. d. Oto, jak odbija się w nauce duch germański.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.